

Mołdawia. Jak umiera raj – 1

7 listopada 2016

– To była republika-sad – wspomina dawną Mołdawię Bogdan Țîrdea, deputowany do parlamentu z ramienia Partii Socjalistów Mołdawii. Kreśli obraz niekończących się ogrodów i upraw winorośli, a potem dodaje, że nie tylko tym chlubiła się Mołdawia radziecka. Pierwszy raz w swojej historii nie była państwem neofeudalnym, miała rozwinięty przemysł i powszechny system oświaty. Z czego może być dumna dziś, czym się wyróżnia? Polityk chwilę się zastanawia i w końcu mówi: w Kiszyniowie jest jeden z największych cmentarzy w Europie. A potem tylko smutno się uśmiecha.

– Jestem politologiem neomarksistą – stwierdza Țîrdea na samym początku naszego spotkania. – Ale żeby powiedzieć, że w Mołdawii nie dzieje się dobrze, nie muszę nawet sięgać do metodologii wypracowanej w tym nurcie. Kiedy jakiś liberał, polityk albo dziennikarz, zaczyna udowadniać, że kraj przez 25 lat niepodległości zmienił się na lepsze, pokazuję mu ich własne narzędzia. Klasyfikacja wolności gospodarczej według fundacji Heritage? Nędznie, Mołdawia zalicza się do krajów „mostly unfree”, z szalejącą korupcją. Publikacje Freedom House? Niewiele lepiej, Mołdawia dostała notę ogólną „partly free”, w artykułach o kraju ciągle powraca temat oligarchów, malwersacji, frustracji wśród mieszkańców. Wskaźnik wolności prasy według Reporterów bez Granic? Ósma dziesiątka. PKB?. Dzisiejszy, po uwzględnieniu szarej strefy, to marne 2/3 tego, jaki miała republika w 1990 r.

Dla tych, którym to nie wystarcza, Bogdan Țîrdea wspólnie z ekonomistą Victorem Ciobanu napisał „Mołdawię oligarchów”. Na 856 stronach pokazuje, czym naprawdę jest „wolny kraj”. Píše o tym, jak doprowadzono do tego, że mołdawska gospodarka to dziś w ponad połowie czarny rynek, a w pozostałej części – monopole w rękach kilku zaledwie ludzi. Píše o klanach, analizuje celowo splecione związki polityczno-biznesowo-

medialne. Nie oszczędza ani „komunistów” Woronina, ani „liberałów” Filata, ani „demokratów” Plahotniuka. Udowadnia, jak „eurosceptycy” do spółki z „euroentuzjastami” wyciągali ręce po unijne granty i dofinansowania, by potem bezkarnie przejmować pieniądze dla siebie. Poglądy i hasła polityczne, wykazuje na przykładach, w większości przypadków nic nie znaczą. Największym partiom nie chodzi o demokrację, wymianę poglądów, rywalizację różnych wizji polityki wewnętrznej i zagranicznej. W najlepszym razie, pisali autorzy w 2014 r., w obrębie 1-2 proc. społeczeństwa, które na prywatyzacji wyszło świetnie, rozgrywa się walka o wpływy. Reszta społeczeństwa, walcząca o zwyczajne przetrwanie, jest potrzebna najwyżej jako tania siła robocza. 80 proc. Mołdawian uważa się za biednych. Połowa populacji kraju wyjechała do pracy za granicą. Spotka się w ich w Rosji, we Włoszech, we Francji, w Niemczech, czasem w dalekich Stanach. Nie mają zamiaru wracać.



Vladimir Plahotniuc.

Rozmawiamy dwa lata po wydaniu książki. Od tego czasu sprawy jeszcze się uprościły – oligarchą najbogatszym i najsilniejszym, który właściwie pozbył się konkurencji, jest Vlad Plahotniuc. Człowiek w samej Mołdawii znienawidzony przez 95 proc. mieszkańców, w kilku krajach unijnych, w tym w sąsiedniej Rumunii, poszukiwany przez policję. Za jego pieniądze powstała Demokratyczna Partia Mołdawii (PDM). W 2009

r. razem z Partią Liberalną i Partią Liberalno-Demokratyczną (PLD) utworzyła ona Sojusz na rzecz Integracji Europejskiej. Sojusz ogłosił, że biedną Mołdawię zreformuje, zdekomunizuje, zmodernizuje i wprowadzi do Europy, która zresztą całemu projektowi entuzjastycznie przyklasnęła. Kiedy poparcie Brukseli, a potem Waszyngtonu, było już przyklepane, Plahotniuc (formalnie nie pełniący żadnego stanowiska) podzielił się wpływami i państwowymi urzędami z Mihailem Ghimpu (od liberałów) i Vladem Filatem (z PLD). Oficjalna koalicja była im potrzebna, by utrzymać się przy władzy i zachować przychylność Brukseli. Za tą fasadą toczyła się bezwzględna walka o poszerzanie wpływów i maksymalizację dochodów.

Pierwszy wypadek z poważnej rywalizacji Ghimpu. Od początku zresztą jego partia miała w koalicji najsłabszą pozycję. Hasła, z którymi próbował trafiać do zwykłych ludzi, dobrane były marnie. Nie porwało tłumów ani przekonywanie, że Mołdawianin to Rumun, ani opowieść o tym, że Mołdawska SRR była jednym pasmem krwawego terroru. Dłużej walczył Vlad Filat, ale i on nie dał rady. Dzięki oparciu w służbach i wymiarze sprawiedliwości sponsor Partii Demokratycznej Plahotniuc najpierw pozbawił konkurenta premierostwa (w roku 2013), a potem zwyczajnie wsadził do więzienia (w październiku 2015), oskarżając – jak przystało na reformatora – o korupcję. Plahotniuc zamierzał sam zostać nowym premierem, ale tu nieoczekiwanie na drodze stanął mu prezydent Nicolae Timofti, odmawiając desygnowania kandydata o fatalnej reputacji. Skończyło się „kompromisowo”: szefem rządu został w styczniu tego roku Pavel Filip, człowiek z bezpośredniego otoczenia Plahotniuka. Reszta stanowisk ministerialnych powędrowała również do ludzi oligarchy lub, w najlepszym razie, do technokratów bez zaplecza, którzy jeszcze wierzą, że w mołdawskiej polityce da się zrobić coś dobrego.

Czy wierzy w to Bogdan Țîrdea, którego partia socjalistyczna w 2014 r. zdobyła w wyborach najwięcej głosów, ale pozostała w opozycji, bo „proeuropejscy” dogadali się po raz kolejny? W

pierwszej kolejności zaznacza, że siły są nierówne. Europa swojego czasu uwierzyła oligarchom i nadal stoi po ich stronie. Nieważne, że nie ma takiej obietnicy wyborczej, której Sojusz na rzecz Integracji Europejskiej by nie złamał, skandalu, w który by się nie uwikłał. Po tym, gdy z systemu bankowego Mołdawii wyprowadzono miliard dolarów, czyli za jednym zamachem 12 proc. PKB, mogłoby się wydawać, że pewna granica została przekroczona, Unia Europejska już nie będzie udawać, że wierzy w dobre intencje oligarchów. Ale absurdy mołdawskiej rzeczywistości znowu pokonały logiczne myślenie.

Z punktu widzenia UE najważniejsze jest to, żeby w Mołdawii nie urosła w siłę opcja, która kwestionuje dogmat o eurointegracji, mówi socjalista. Żeby nikt nie przypominał na przykład o tym, jakie straty przyniosło krajowi odcięcie się od rosyjskiego rynku, nieuchronna konsekwencja działań Sojuszu na rzecz Integracji Europejskiej. Ludzie się nie liczą. Ba, co tam ludzie, nie liczą się nawet wyrzucone w błoto granty na „pomoc rozwojową”. Mołdawia nigdy nie będzie potęgą, w Brukseli świetnie o tym wiedzą, ale i tak najważniejsze, żeby była po naszej stronie, a nie dobrze żyła z Rosją. Naciska na to choćby Rumunia, cytując na przemian argumenty obronnościowe (Bukareszt to przecież część flanki NATO z amerykańską tarczą antyrakietową, a z Kiszyniowa niedaleko do rosyjskich wojsk w Naddniestrzu) i tożsamościowe. Dla Bukaresztu za Prutem są Kresy Wschodnie, niemal tak samo zmitologizowane, jak te polskie. Dopóki zatem oligarchowie nie są prorosyjscy, UE jest gotowa ich tolerować i tylko czasem wyrażać zaniepokojenie z powodu „deficytów” demokracji. USA gotowe są na gesty jeszcze bardziej bezpośrednie. W maju 2016 r. Victoria Nuland z Departamentu Stanu, zamiast zapraszać do siebie kogoś z ludzi Plahotniuka, który w imieniu szefa klanu pełni akurat państwowy urząd, spotyka się osobiście z oligarchą, jemu tłumaczy, czego oczekują w Białym Domu, jego chwali za dotychczasowe „osiągnięcia”.



Miasteczko protestacyjne "Godności i Prawdy" w centrum Kiszyniowa.

A tymczasem na kiszyniowskiej scenie politycznej objawiła się na początku 2015 r. siła „prawdziwie proeuropejska”. Ruch Godność i Prawda, coś pomiędzy polskim – jeszcze wtedy nieistniejącym – KOD-em, a ukraińskim triumfującym Majdanem. Długo nie chciał być partią, deklarował, że ograniczy się do patrzenia rządzącym na ręce, upowszechniania wartości. W końcu partią został, ale swoją siłę widzi głównie w protestach ulicznych. Ludzie z Godności i Prawdy tak jak ci z Majdanu, stawiają namioty, zapowiadają, że sprzed budynku rządu przy Bulwarze Stefana Wielkiego zaczną się pochód ku wolności. Ale – w odróżnieniu od Ukraińców – nie mają swojego Prawego Sektora, nie ma sotni, atamanów, nie ma być przemocy w ogóle. Wystarczą nośne hasła i kolorowe transparenty.

Przynajmniej tak się wydawało w pierwszej chwili liderom Godności i Prawdy, intelektualistom, a nie politykom. Kiedy miasteczko stało już jakiś czas, przeszło też kilka demonstracji, a efekty były dalekie od oczekiwanych, zdecydowali się na krok poważniejszy. Połączyli siły z inną opozycją – manifestującym niezależnie od nich Naszą Partią, lewicową i prorosyjską, i z socjalistami. Chcieli pójść przeciwko oligarchom razem z partiami, którym obce jest bezwarunkowe zapatrzenie na zachód, które chcą nie tylko

rozliczenia Plachotniuka et concortes, ale i przemyślenia całej geopolitycznej orientacji kraju. Wspólnie dziś wyprowadzają na ulice nawet 20-30 tys. ludzi. Już nie domagają się tylko „prawdziwej eurointegracji”. Socjaliści wnoszą swoje sztandary, mówią głośno o rosnących cenach usług komunalnych, o bezrobociu, o zamykanych szkołach i gruntach w centrum Kiszyniowa sprzedawanych za bezcen podstawionym spółkom.

Tak się nie robi Majdanu, panie i panowie! W Brukseli i Waszyngtonie błyskawicznie powstaje rachunek zysków i strat. Wniosek? Lepszy Plachotniuc ze swoimi przekrętami, niż zmiana w elicie politycznej, której efekty nie do końca da się przewidzieć. Nie przychodzi więc zza granicy wyczekiwane poparcie. Bruksela co najwyżej wezwie “wszystkie partie i organizacje” w Mołdawii, by usiadły do stołu i porozmawiały. Płyną za to dalej fundusze i granty, które mają proeuropejskiemu rządowi pomóc rozwijać kraj. W książce Țirdei i Ciobanu czytamy, że na założony cel w ostatniej dekadzie z tych grantów poszło najwyżej 40 proc. Godność i Prawda może więc sobie mówić i o godności, i o prawdzie, i o uczciwości, może sobie apelować do UE: przecież chcemy tego samego, o czym wy mówicie, wesprzyjcie nas! Proamerykańska deputowana Maia Sandu, faworytka piszących o Mołdawii analityków z Freedom House, lepiej pojęła, jak sprawy stoją. Na jednej z manifestacji oznajmia: jest oburzona korupcją, robi wszystko, by rozwikłać wielkie afery i wskazać winnych, teraz jednak wzywa manifestantów, by rozeszli się do domów. Bywało i tak: 2 stycznia dwa tysiące demonstrantów przyszło do parlamentu wygwizdać Pavla Filipa, premiera namaszczonego przez Plahotniuka. Liderzy opozycji zdobyli się tylko na to, by... poprosić ich o uszanowanie wyników głosowania. Cztery dni później Godność i Prawda, socjaliści i Nasza Partia jakby się zreflektowali, znowu zorganizowali 20-tysięczny pochód – ale władza go zignorowała. Plahotniuc już miał to, co mu było potrzebne.



Bogdan Țirdea.

No i się ludzie rozeszli, rozkłada ręce Bogdan Țirdea, który też protestował, też zachęcał, by nie poddawać się marazmowi upadającego państwa i swój gniew wykrzyczeć. Byłoby na co, wylicza. Dziesiątki pozamykanych zakłady, 350 szkół zlikwidowanych w dwie dekady, spadające płace, rosnące koszty życia. To, że tylko Kiszyniów daje jako takie szanse, by – przy łucie szczęścia i wielkim samozaparciu – awansować z biedy całkowitej do trochę lepszego życia. To, że ponownie tylko Kiszyniów jest w stanie się utrzymać bez dopłat ze skarbu państwa. Jeśli w stolicy jest trudno, za jej granicami zaczyna się prawdziwa katastrofa. A integracja europejska taka, jak ją prowadzono do tej pory, tylko sprawy pogorszy. Dlatego socjaliści sprzeciwiają się umowie stowarzyszeniowej Mołdawii z UE, paraflowanej 29 listopada 2013 na szczycie Partnerstwa Wschodniego. Umowa przewiduje zniesienie 99,2 proc. ceł na import towarów z Europy do Mołdawii. Co prawda w zamian UE zniesie dokładnie 99,9 proc. ceł, ale zachowa ograniczenie w zakresie importu tego, co – nie licząc wina – Mołdawia produkuje w największej ilości: warzyw i owoców. Innymi słowy, jeśli podbój rynku europejskiego przez wyroby made in Moldova jest kompletną mrzonką, to już zalanie Mołdawii przez produkcję zagraniczną bynajmniej nie. Jaka z tego korzyść dla Mołdawian? Oni na temat układu nie mieli

nawet szansy się wypowiedzieć.

Za to 30 października pójdą na wybory prezydenckie. Na ulicach Kiszyniowa wiszą już plakaty Igora Dodona, lidera i kandydata socjalistów. Zanim udaje mi się zapytać Țîrdeę o jego szanse, deputowany sam wywołuje temat. Nikt nie wie, jak się sprawy potoczą – jakimi środkami Plahotniuc zechce popierać swojego kandydata Mariana Lupu, na razie dołującego w sondażach, co robi, jeśli wygrana przypadnie Dodonowi lub Mai Sandu (ich z kolei wymienia się w sondażach na pierwszych pozycjach). Czy nastąpi bezczelne fałszerstwo wyborcze, czy może oligarcha wymyśli jeszcze inny scenariusz? Nie jest mu wszystko jedno: już doprowadził do takiego zmodyfikowania prawa wyborczego, by z powodu zbyt młodego wieku nie mógł startować popularny Renato Usatîi, lider Naszej Partii. Część socjalistów planuje zatem na razie wspierać kampanię swojego lidera, a później – okaże się. Są też tacy, jak mój rozmówca, którzy po prostu nie wierzą, by cierpliwość oszukiwanych ludzi miała trwać wiecznie. Jeśli Plahotniuc ostentacyjnie sfałszuje wybory, może dojść do buntu. Prawdziwego, większego, niż te demonstracje, które zdarzały się do tej pory. Proszę pojeździć po wsiach, zobaczyć, jak żyją poza Kiszyniowem, przekona się pani, że nie przesadzałem, namawia Țîrdea, gdy nasze spotkanie – które, właśnie przez kampanię wyborczą – dobiega końca. Ze zwykłymi ludźmi proszę porozmawiać, oni lepiej niż ja powiedzą, co zrobiono z tym państwem. Z naszą republiką-sadem.

Autorstwo: Agatha Rosenberg

Zdjęcia: Wikimedia Commons (1, 2), Agatha Rosenberg (3)

Źródło: Strajk.eu